

Mój wielki kolega

MACIEJ SZKLARCZYK: W niedzielę po Wielkanocy, 1 maja, zgodnie z beatyfikacyjnym papieżem Janem Pawłem II. Tydzień wcześniej, 25 kwietnia, obchodził Pani 90. urodziny...

HALINA KWIATKOWSKA: Lubię liczyć... W tym roku obchodzę również 70-lecie pracy w teatrze. W szkole teatralnej uczyłam 40 lat: 20 lat piosenki, 20 lat wymowy poezji i prozy. 20 lat spędziłam w kabarecie Jana Michalika...

Ojca Świętego znalazłam za 72 lata. Przez ostatnie 4 lata (wówczas 8-letniego) gimnazjum byliśmy blisko związani szkolnym teatrem w Wadowicach. Graliśmy zawsze główne role: ja – Antygonę, on – Hajmona; ja – Balladynę, on – Kirkora (a wobec nagłej potrzeby zastępstwa, i wobec tego, że Kirkor wcześniej ginie na wojnie, w ostatniej chwili wziął drugą rolę, Kostryna). W „Ślubach panieńskich” Fredry grałam Anielę, on zaś zakochanego w niej Gucia!

Młody Wojtyła – koleżeński, dowcipny, ciepły – odróżnił się od rówieśników. Nie miał matki od lat, brat zmarł, mieszkał sam z ojcem. W wieku 15 lat przebywał głównie w domu: uczył się języków, pisał wiersze, czytał filozofów.

Jakich autorów czytał?

No nie wiem, dla nas to była abrakadabra... Ze szkolnego konkursu recytatorskiego (który nawiasem mówiąc niezasłużenie wygrałam) zapamiętałam wyłącznie Karola interpretującego „Promethidion” Norwida. Miałam tremę przed własnym występem – a jednak on mówił w taki sposób, że ja, 15-latką, dzięki niemu ten poemat filozoficzny zrozumiałam: prosto, bez egzaltacji. Otrzymał wtedy drugą nagrodę. I on mi to pamiętał, jako papież, śmiejąc się, groził mi palcem: „Tyś mnie wtedy pokonała”.

No i był niezwykle pobożny. Nawet w takim małym miasteczku to zwracało ogólną uwagę. Potrafił leżeć krzyżem w kościele, długo się modlił. I ten właśnie chłopiec grał Gucia, lekkomyślnika, szalawile! A zagrał go świetnie! Dowcipnie, lekko! Mieliśmy ogromne powodzenie. Oceniam teraz te nasze wysiłki jako dopracowane i naprawdę niezłe.

Patrząc na trochę późniejsze zdjęcia, Wojtyła był przystojny...

Bardzo przystojny. Wy sportowany, świetnie jeździł na nartach... Z okna naszego mieszkania w męskim gimnazjum, którego ojciec był dyrektorem, widziałam go na przerwach, zawsze broniącego bramki w szczypiorniaku.

...i grał amantów. Był atrakcyjną partią? Dziewczyny się za nim ogładywały?

W Wadowicach nigdy się nie mówiło, że chodzi z dziewczyną. W ogóle ten temat nie istniał. Występowaliśmy przecież razem, ale nie znam go w ogóle z tej strony. On się tymi sprawami nie zajmował.

Byliście przyjaciółmi: wtedy albo później?

Wtedy na pewno. Łączył nas teatr, główny temat naszej przyjaźni. Czytaliśmy recenzje, np. z „Wiadomości Literackich”; i godzina mi się kilkościłymi. Jeździłszy na świetne przedstawienia do Krakowa, które Juliusz Osterwa organizował specjalnie dla szkół. Przymożono mi się do w łóżko tego samego Teatru im. Słowackiego, w 1980 r., na sztuce Karola Wojtyły „Brat naszego Boga”, w reżyserii Krystyny Skuszanki.

Halina Kwiatkowska, aktorka:

Młody Wojtyła był niezwykle pobożny. Potrafił leżeć krzyżem w kościele, długo się modlił. I ten właśnie chłopiec grał Gucia, lekkomyślnika, szalawile! A zagrał go świetnie!



Karol Wojtyła nie zrywał znajomości...

W trakcie pierwszej pielgrzymki do Polski w 1979 r. odbyło się spotkanie w Krakowie na Skale z intelektualistami i artystami. Posiłam na nie z Tadeuszem, moim mężem. A miałam wtedy straszne życie: gdy Karol Wojtyła został papieżem, media, głównie niemieckie, np. „Spiegel”, przycepiły się do mnie i do niego, wypisując niegodne rzeczy. Bałam się z nim spotkać, bo co jeśli on myśli, że ja tych wywiadów naprawdę udzielałam? Nie spałam po nocach. Staaliśmy pod organami, sami, bo wszyscy się pchali do przodu. A on wszedł tylnymi drzwiami! Prosto na nas. Przytulił mnie, a do męża powiedział: „Tadziu, jakis ty siwy!”. Okropnie płakałam, ale wtedy ogarnął mnie spokój.

Gdy Wojtyła został w 1946 r. księdzem, a potem biskupem krakowskim (od '58 r. pomocniczym, od '64 r. metropolita), miała Pani z nim częsty kontakt?

Pierwszego chrztu w swym kapłańskim życiu udzielił mojej córce, Monice, kilka dni po święciach. Przeszedł do naszego mieszkania, bo ja byłam chora. A kiedy w 1970 r. zmarł mój ojciec, biskup Wojtyła, jego dawny uczeń, napisał list odczytany przed pogrzebem. Żałował, że nie mógł osobiście prowadzić konduktu, odprawił więc masę żałobną w kurii. A potem zaprosił moją rodzinę na śniadanie. Myśmy się naprawdę dobrze znali. Przecież Tadeusz studiował z nami przed wojną polonistykę.

Jako hierarcha Karol Wojtyła był jednak dość zajęty. Częściej chyba spotykałam się z nim jako papieżem niż biskupem. Jeździłam do Watykanu prywatnie albo z dwajmymi kolegami na matralne jubileusze. Zawszy wtedy jako biskup i potem w czasie pielgrzymek do Polski zawsze starał się z nami spotkać.

Biskup Wojtyła interesował się krakowskim teatrem? Chodził na przedstawienia?

Przypuszczam, że nie bardzo miał czas. Ale wymyślił spotkanie opłatkowe dla aktorów, na których tak ciepło z każdym rozmawiał. Przejmował się naszymi sprawami. Interweniował w sprawie pogrzebu pewnego aktora samobójcy, którego nie chcieli pochować księża. Powiedział: „Kto z nas śmie wierzyc, że znał jego ostatnią myśl przed śmiercią?”.

Widział „Dziady” Konrada Swinarskiego. Teatr Stary wydelegował do kardynała reżysera i mnie (jako przyjaciółkę), by uzyskać pozwolenie na odbycie dwóch nocnych prób w krakowskim kościele dominikanów. W 1975 r. mieliśmy bowiem jechać z tym spektaklem do Londynu i Konrad, szukając odpowiedniego miejsca, znalazł je w XIII-wiecznej katedrze Southwark. Potrzebna była próba w podobnych warunkach. Długo rozmawiali – największy polski ksiądz i największy polski reżyser:

o polityce, historii, literaturze, mesjanizmie, o „Dziadach”. Kardynał tę katedrę dobrze pamiętał, radził nawet, gdzie umieścić które sceny, żeby widać było jakiś obraz czy zaułek. Zgodę oczywiście dostaliśmy.



Wspomniała Pani o wspólnych studiach na Uniwersytecie Jagiellońskim. Trwały raptem rok, bo wybuchła wojna. Uczelnia zamknięta, profesorów aresztowano podczas Sonderaktion Krakau.

W czasie okupacji była bieda, głód. Za obiad prowadziliśmy tajne komplety gimnazjalne – bowiem wszystkie krakowskie gimnazja, oprócz dwu o profilu technicznym, też zamknięto. Chodziłam na komplety polonistyczne. A jak nie miałam z czego żyć, to handlowałam. Karol pracował jako robotnik w kamieniołomach. Ale głowę mieliśmy zawrconą teatrem, który stworzył Mietek Kotlarczyk, doktor polonistyki...

Gdzie poznał Kociarczyka?

W Wadowicach. W czasie okupacji to był Reich – przerosłam czasem przez zieloną granicę listy Karola i Mietka, w których pisali o tym wyznaczonym Teatrze Słowa. Bardzo się przyjaźnił, mimo że Mietek był starszy o 12 lat. Gdy uciekli z żoną do Krakowa, po aresztowaniu brata Mietka, zamieszkali u Karola, któremu niedawno zmarł ojciec. Chodziliśmy tam na próby. Tę kłitkę w suterenie nazywaliśmy katakumbami, bo byliśmy niby przesładowani w katakumbach. W piątek daliśmy 7 tajnych premier: Słowacki, Mickiewicz, Kasprzyc, Wyspiański, Norwid. Robiliśmy to za darmo. Nie baliśmy się, mieliśmy skrzydła w ramion. Walczyliśmy z wrogiem zakazaną przez niego poezją. A odbywały się wywidły, rozstrzelawia... Straszne czasy.

Kto był Waszą widownią?

Gościliśmy w salonach odważnych ludzi, którzy się nie bali zaprosić nas i widzów. To musieli być ludzie zaufani, by uniknąć wpadki. I się nie zdarzyła.

W 300-tysięcznym wtedy Krakowie to była jednak mała garstka...

Występowaliśmy za każdym razem w innym miejscu. Nikt nas nie zdradził. Nawet pewnego dnia zorganizowaliśmy przedstawienie specjalnie dla kilkunastu VIP-ów z tajnego rządu. Bywał u nas Osterwa. Ja z koleżanką widziałam podziemne spektakle np. Tadka Kantora, z którym się przyjaźniłam.

Jak wyglądały przedstawienia Teatru Rapsodycznego?

W pokoju na krzesłach czy poduszkach siadało tak z 30 osób. I słuchali poezji, deklamowanej wprost do nich, bez gestykulacji czy kontaktu między aktorami. I nie tylko dialogów, ale również fragmentów opisowych. Tekst kompilował Mietek. Zamiast dekoracji była świeca i księga na pianinie.

W '42 roku Karol poinformował nas, że zaczyna studiować tajną teologię. Nie pomogły perswazyje. Tyle że do końca brał udział we wszystkich wojennych spektaklach. A byłby wspaniałym aktorem, zawsze atakował materiał od niespodziewanej strony.

Co się działo tuż po wojnie? Jeździłście ze swymi programami po Polsce...

Teatr Rapsodyczny zaliczył pierwszy polski występ we Wrocławiu, w lipcu '45 r., tuż

po skończeniu wojny. Zagrałszy jeden raz. Wrocław się palił, ocalała tylko opera, w której mieliśmy wystąpić, obsługiwana służąco przez pozostałych tam Niemców. I jeden hotel obok, w którym mieszkaliśmy. Tam była jedna ruina. Trupy płynęły kanałami, nawet małe zdejścia tych trupów niemieckich żołnierzy. Był straszny upał i śmierdziało... swąd spaleniźny, ciał, icały czas. Było mi niedobrze. A spędziliśmy tam tydzień, bo w czasie naszego spektaklu nadeszła trąba powietrzna i zwałiła ruiny, tarasując wyjazd ciężarówce, którymśmy tam przyjechali na belach kolczastego drutu. Podróżowaliśmy przywiozonymi sznurkami, żeby nie zlecieć. I tak 12 godzin nocą na otwartą ciężarówkę. W strachu, bo po lasach chowały się jeszcze tzw. „wilcze grupy” niemieckich niedobitków... I te korbajarzy spalonych miast, to było coś przerażającego.

Występowała Pani w Teatrze Rapsodycznym do 1947 r. Dlaczego zdecydowała się Pani odejść z teatru Kotlarczyka?

Zacząła mi nie wystarczać ascetyczna forma, przezeń oferowana. Zachciało mi się normalnego kontaktu z drugim aktorem, poruszania się i gestykulacji, śpiewu. Bałam się powiedzieć Mietkowi, że postanowiłam go zdradzić. Ale jakoś to gładko przeszło.

W 1948 r. zaangażowałam się do Słowackiego, który dysponował trzema scenami. Potem, gdy narząpiał podziął na Teatr Słowackiego i na Teatr Stary, przeszedł do Starego, w którym jestem do dziś.

Zacząło się od Poli w „Mieszczanach” Gorkiego w 1948 r. Bardzo kochałam rolę Iriny w „Trzech siostrach”, w reżyserii Bronisława Dąbrowskiego w '49 r. Zofia Rysiówna jako Masza, Tadziu Kondrat jako Tuzenbach... Świetne przedstawienie, trochę rosyjskie, pod MCHAT... Dostaliśmy nawet I nagrodę na festiwalu sztuk rosyjskich w Warszawie.

To była żywa tradycja?

Dąbrowski był długo w Rosji, widział sławne przedstawienie MCHAT u. Chodziły słuchy, że robił to w tym samym stylu.

Gralam u niego też w '50 r. Alinę w bardzo udanej „Balladynie” Słowackiego, gdzie wszystkie aktorki były dublowane: 2 Aliny, 2 Balladyny, 2 Goplany. Raz obie Goplany zachorowały jednocześnie na gripę. Dąbrowski licząc na moją dobrą pamięć, dał mi tylko jedną próbę i zagrałam Goplanę. Spotkała mnie wtedy przykra niespodzianka... Scenograf Andrzej Pronaszko zaprojektował ten spektakl oryginalnie pod względem plastycznym. Kostium Kirkora ważył 27 kg! A Goplanie dał nie żaden las, tylko gruby, szary mur, wysoki przynajmniej na 2 metry, po którym się poruszała. To było jej królestwo. Wysłałam na ten mur, stanęłam wysoko, zobaczyłam publiczność – i zapomniałam wszystko! Na szczęście mieliśmy genialną suflerkę, w sekundzie znalazła się pod tym murem, rzuciła mi kwestię – i poszło. Ale to mi się śni po nocach.

W '50 r. w „Obcym cieniu” Konstantego Simonowa w reż. Lidki Zarnkowskiej spotkałam się po raz pierwszy ze wspaniałą aktorką Zofią Jaroszewską. Wciąż, po tej poezji rapsodycznej, uczyłam się mówić bez patosu w teatrze. A ona mnie tego nauczyła. Grała moją ciotkę. Wzięła mnie do siebie, upiła trochę i zaczęła bić poduszkami: „Teraz nie będziesz mnie traktować jak wielką aktorkę, tylko bliską osobę, jak ciocię”.

ADAM GRZECZOWSKI / ARCHIWUM HALINY KWIAJKOWSKIEJ



Halina Kwiatkowska w roku 1957.

”Gdy Karol Wojtyła został papieżem, media przyczepiły się do mnie i do niego, wypisując niegodne rzeczy. Bałam się z nim spotkać. Staaliśmy z mężem pod organami, sami. A Papież wszedł prosto na nas. Przytulił mnie, a do męża powiedział: „Tadziu, jakiś ty siwy!”. Okropnie płakałam, ale wtedy ogarną mnie spokój.

◆◆◆

W latach 80. właściwie nie gra już Pani w teatrze. Natomiast do 2001 r. jest pedagogiem w szkole teatralnej.

Doliczyłam się przez 40 lat 586 studentów. Jacek Wójcicki, świetny piosenkarz, pierwszy raz wystąpił w TV ze mną. Genialna, pełna temperamentu Ewa Demarczyk tylko jedną rzecz mnie zawdzięcza: odczytuję ją rzucania podczas śpiewu do taktu lewym ramieniem. Poza tym nic nie trzeba było jej sugerować. Mój dawny student Jerzy Stuhr zaprosił mnie do udziału w przedstawieniu dyplomowym przygotowywanym pod jego opieką – wtedy pierwszy raz ze studentami występował pedagog. A gdy Stuhr był rektorem, wymyślił nowy przedmiot: kulturę bycia. Bo studenci pierwszego roku mówili właściwie monosylabami, nie umieli chodzić ani usiąść – a poza tym na moich lekcjach oni się otwierali.

W latach 90. dałam się wciągnąć z grupką studentów w wizyty w krakowskim więzieniu. Byłam ryzykantką, jak powiedział mój rektor. Nie zapomnę pierwszego wrażenia. Jak po chamsku więźniowie wołali za dziewczynkami! A potem z podwórza weszliśmy do dość dużej sali. Siedziało ich tam pod ścianą kilkunastu, starannie ubrani palli drogie papierosy, strzeżąc popiół do puszek po konserwach.

Wyselekcjonowana grupa?
 Oczywiście, ci „grzeczni”. Kazano nam usiąść przy stole. Chcąc przełamać dystans, poprosiłam, by się przybliżyli, i zapytałam o imiona. Zgłupieli. Prezentowaliśmy im wiersze, potem zaczęli przynosić to, co sami pisali. Robiliśmy warsztaty teatralne. Na ostatnim spotkaniu po-

dzieliłam się z nimi wspomnieniem z okupacji, gdy mój narzeczony, aresztowany przez gestapo, siedział w tym samym co oni więzieniu, w takiej ciasnocie, że w nocy spali na boku i przewracali się na komendę. Jeden z więźniów odparł: „Teraz jest tak samo”. Naczelnik więzienia wyszedł na to bez słowa. Niemniej, wspominały te odwiedzinyszpansiale.

◆◆◆

Jak to było z aresztowaniem Tadeusza Kwiatkowskiego w '44 r.?

W czasie okupacji Tadek należał do tajnej organizacji, Unii. Działal w niej też pisarz Tadeusz Kudliński, z którym się blisko znaliśmy. Gdy aresztowano, Tadek miał wyjechać z miasta na wieś, do moich rodziców. Zrobił jednak głupstwo: poszedł do biura, gdzie pracował, poinformować, że wyjeżdża. A gestapo tam już czekało.

Gdy przywieźli go na Montelupich, popsula się tamtejsza łaźnia. Niemcy to byli higieniści: zebrali więźniów w jednej sali i nie puszczali do cel, póki się nie wykąpią. Tam wprowadzili Tadeusza. Zobaczył Kudlińskiego na ławce, bez słowa siadł koło niego. I dali ich do jednej celi, w tej samej sprawie! Przesłuchujący Tadeusza gestapowiec sam przyznał, że to bez sensu, bo oni sobie wszystko mogli powiedzieć. Próbowaliśmy go przekupić boczkiem, whisky, lecz się okazało, że Tadek przesłuchuje Hilschera, a nie Hilsche... Ten właściwy zażądał obrazu Juliusza Kossaka. Zakupiliśmy wreszcie wachlarz z 12 koźmi, akwarelę Juliusza Kossaka, i posłałiśmy mu. Tadeusza puszczli. Wywołaliśmy go wówczas od razu do rodziców. Tam napisał „Lunapark”, swój debiut.



ARCHIWUM HALINY KWIAJKOWSKIEJ

Halina Królikiewiczówna (później Kwiatkowska), Karol Wojtyła oraz Danuta Pukło w przedstawieniu wadowlkiego gimnazjum. Około roku 1936.

Siedział tylko parę miesięcy, ale wtedy panował tyfus, nie było żadnego kontaktu. Słaliśmy sobie grypsy, umierając ze strachu. Tadeusz prosił, bym spacerowała w zielonym kapeluszu pod więzieniem. By mnie zobaczyć, wchodził innym na ramiona. Okna były zasłonięte i widziałam tylko kawałek jego głowy w wąskiej szparze. To było dla mnie tak upokarzające...

Gdy skończyła się wojna, pobraliście się.
 Zarnieżyliśmy w Domu Literatów, zaraz w dzień ślubu. Po roku urodziła się córka... Tadeusz sekretarował w krakowskim oddziale ZLP. Rozdzielał mieszkania, meble, pomoc z UNRR-y. Krupnicza 22 to był „zjazd” pisarzy, a ja – zasadniczka z Wadowic. Oni mnie tam przerobili. Bawiliśmy się jak dzieci, po wojnie był taki podwyższenia się. To były wspaniałe przyjaźnie...

◆◆◆

W 1960 r. urodziło się inne Wasze dziecko – kabaret Jama Michalika, w legendarnej secesyjnej kawiarni o tej samej nazwie. Trzeba jednak uznać tu jeszcze ojcostwo Bruno Miecugowa, Jacka Stwory...

Teksty pisał Tadeusz, Bruno i Jacek. Zawsze spójne, na jeden temat. Żadne tam skakania i tańce. Skład aktorski zaś ciągle się zmieniał. Ja po 20 latach uznałam, że kobieta 60-letnia nie ma się co pokazywać w kabarecie. Choćby tak udany, literacko-satyryczny, rzecz można polityczny. Cieszyliśmy się ogromnym wzięciem. „A to ci wesele” – parafrazę „Wesela” Wyspiańskiego, gdzie pojawiał się m.in. Chłoporobotnik – graliśmy prawie 200 razy. „Trędowatego” – antidotum na szmirnowatą powieść Heleny Miszkówny „Trędowata” – prawie 600. Bolało nawet, że w Krakowie mówi się i pisze tylko o Piwnicy pod Baranami... Tak że w końcu z Brunonem zabrałam się kilka lat temu za spisanie 30-letnich dziejów naszego kabaretu.

Na tym nie wyczerpała się Pani aktywność...

Napisałam kiedyś z Ewą Otwinowską rodzaj dowcipnego savoir-vivre'u dla młodych dam. Było nam mało, więc pisałyśmy sluchowiska. Jedno z nich, nagrodzone na radiowym konkursie, przerobiłyśmy w stanie wojennym na komedie pt. „Ogłoszenie matrymonialne” i bez żadnej wiary posłałyśmy, już w '84 r., do ministerstwa. A dyrektor warszawskiego Teatru Nowego Bohdan Cybulski postanowił ją wystawić. Grali tam m.in. Irena Kwiatkowska, Wojtek Pokora. Z ogromnym powodzeniem. Niespodziewanie zarobiłyśmy masę pieniędzy z tantem. Napisałyśmy jeszcze kryminalną sztukę „Sytuacja bez wyjścia”, dziejącą się w teatrze, gdzie trwa śledztwo w sprawie śmierci reżysera na scenie. Wystawiono ją w Starym Teatrze, nawet grałam w niej jedną z ról.

Sporo tego wszystkiego...
 Przez lata mój dzień wyglądał tak: na 10.00 szłam do teatru na próbę, która trwała do 14.00; a zagrałam sześćdziesiąt parę ról; od 14.15 do 18.00 zajęcia w szkole; ze szkoły leciałam do teatru na spektakl; a ze spektaklu – w piątki, soboty i niedziele – do Michalika na nocny program. Nie pojmując dziś, jak ja dawałam radę. A dawałam, szczęśliwa.

Nie potrzebowała Pani odreagować?
 Owszem. Od lat uwielbiam podróże. Zjeżdżałam kawał świata. Najczęściej samotnie, bo w mężu nie miałam towarzysza wypraw. W '77 roku przejechałam autokarem w 6 tygodni przez Stany Zjednoczone: z Nowego Jorku do San Francisco i z powrotem. Rosja: Petersburg, parę razy Moskwa, Omsk, nawet Irkuck, Bajkał. Porty czarnomorskie i cudowne medresy w Uzbekistanie... Wiele krajów, wiele podróży. Ostatnio byłam 3 lata temu w Chinach.

A jak Pani znosi starość?
 Gdy w wieku 80 lat dostałam wymówienie ze szkoły, naraz znalazłam się sama, w ciszy, bez żadnego otoczenia. Emerytka. Zachorowałam na depresję, trwało to prawie 2 lata. W ogóle nie wychodziłam z domu, nie chciało mi się myć, wstawać z łóżka. Teżniłam najbardziej nie za teatrem, lecz za szkołą, za młodymi, których kochałam i od których brałam garściami. Pewnego dnia dzwonił jakiś pan i proponuje spotkanie z publicznością w Bielsku. Zgadzałam się. Droga się dłuży, więc opowiadam mu o sobie. A on pyta, czemu tego nie opiszę. Okazał się właścicielem małego wydawnictwa Kwadrat, które w efekcie wydało moje wspomnienia: „Porachunki z pamięcią”.

Pisanie okazało się lekarstwem na melancholię.

Potem namówił mnie do napisania kolejnej książki, o Papieżu. Na jej podstawie zrealizowała monodram „Wielki Kolega”, gdzie wspomnienia przeplatałam poezją z repertuaru Teatru Rapsodycznego. Pokazuję to wciąż w kraju i za granicą: nawet w Nowym Jorku i Waszyngtonie. Przez półtorej godziny mówię z pamięci, mimo moich lat. Pamięć wyrobiłam sobie chyba u Kotłarczyka, mójmy nigdy nie mieli tam suflera. Często później brano mnie na zastępstwa, bo wiadziiano, że ja się szybko uczę. Zdarzały mi się zastępstwa bez żadnej próby!

O Karolu Wojtyłie wydała Pani wspomnienia, zrobiła monodram, przyjęła epizod w filmie „Karol. Człowiek, który został papieżem”. Dlaczego się Pani tym zajmuje?
 Nie potrafię powiedzieć. Ale zdaje sobie sprawę, jakie miałam szczęście, będąc w przyjaźni z tak niezwykłym człowiekiem. W Watykanie przegadaliśmy nieraz we dwójkę sporo czasu. Mówiłam Norwidu, a on o Norwidzie – taki mieliśmy dyskurs w jadalni. Można mi zazdrościć.

Przez najbliższe miesiące też się Pani od tego zapewne nie uwolni.

Pokażę parę razy mój monodram. Ostatnio znów proszono mnie o wywiad dla TV. Ilez ja ich już zrobiłam! Jestem też przewodniczącą sędzi koleżeńskie, należę do ZASP-u od '46 r. Od paru miesięcy piszę kolejną książkę. Nie wiem, czy to coś warte, bo się spieszę. Chcę mi zorganizować benefis, na 90-lecie i 70-lecie. No i wciąż gram panią Pernelle w „Tartuffie”, w Starym Teatrze.

Mogę zadać intymne pytanie? Czy czuje się Pani spełniona?

W życiu prywatnym? To są prywatne sprawy. Kolana mnie bolą ostatnio, przysnę pana. ◆
 ROZMAWIAŁ MACIEJ SZKLARCZYK

◆ Wywiad zamówiony przez redakcję „Nowej Polisy” ukazał się po rosyjsku w kwietniowym numerze miesięcznika.